

CONAN DOYLE.

# PÓŹNA ZEMSTA

na język polski przełożył W. L.

## ZE WSPOMNIEN WATSONA

2

Ciąg dalszy.

Biegłość Holmesa w grze na skrzypcach była prawdziwie wielką, ale całkiem oryginalnej natury, jak wszystko zresztą u tego niezwykłego człowieka. Czasami grywał mi wieczorem niektóre z moich ulubionych kawałków; skoro tylko pozostawiłem go samemu sobie, rzadko można było jakąś melodię usłyszeć. Opierał się wtedy wygodnie w swoim wysokim fotelu, zamykał oczy i mechanicznie przeciągał smyczkiem po skrzypcach, które leżały na jego kolanach.

Tony, jakie wydobywał wtedy, były zawsze wyrazem jego chwilowego uczucia — raz ciche i bolesne jakieś, to znowu wesołe i wyuzdane prawie. Czy postępował wówczas za zmieniającym się humorem swej wyobraźni, czy też chciał może myśli swoje do żywszej pobudzić pracy, powiedzieć nie mogę. Przeciw jego porywającym za serce występom artystycznym, w salonie z pewnością wniósłbym protest; aby mnie jednak, do pewnego stopnia za próbę cierpliwości odszkodować, kończył zazwyczaj w ten sposób, że grał potem cały szereg moich ulubionych melodyj bez przerwy, co mnie musiało uspokoić.

W pierwszym tygodniu nikt nas nie odwiedził i już poczyniałem przypuszczać, że mój towarzysz również jak ja osamotnił na tym świecie, gdy wyjaśniło się nagle, że ma znajomych bardzo wielu i to w najrozmaitszych warstwach społeczeństwa. Ten mały człowiek z bladej żółtą twarzą, zdradzający dziwne pokrewieństwo ze szczurem, przedstawiony mi jako pan Lestrade, przyszedł w ciągu tygodnia co najmniej cztery razy. Pewnego rana zjawiła się młoda dziewczyna, nadzwyczaj elegancko ubrana i pozostała przeszło pół godziny. Popołudniu tegoż samego dnia zastałem jakiegoś starszego siwego jegomościa, wyglądającego na żyda-włóczęgę. Za nim wsunęła się cicho do pokoju jakaś wstrętna, stara kobieta. Przy innej sposobności miał dłuższą konferencję z Holmesem jakiś czcigodny starzec, to znowu urzędnik w kolejowym uniformie. Za każdym razem, skoro zjawiła się któraś z tych dziwacznych postaci, prosił mnie Holmes o pozostawienie go samego w pokoju, więc udawałem się zwykle do mojej sypialni. Usprawiedliwiał się też niejednokrotnie, że naraża mnie na podobne nieprzyjemności.

— Trudno! muszę używać pokoju tego w najrozmaitszych interesach, ci ludzie to moi klienci.

Przez delikatność nie starałem się użyć tej sposobności do wyjaśnienia mi jego tajemniczego działania. Nie chciałem zdobywać sobie gwałtem zaufania, jakim mnie sam nie darzył i w końcu wmówiłem w siebie, że trzyma to wszystko w tajemnicy z jakiegoś bardzo ważnego powodu. Że omyliłem się grubo, miałem się niebawem przekonać.

Czwartego marca — dzień ten utkwiał mi dobrze w pamięci — zerwałem się z łóżka wcześniej niż zazwyczaj i zastałem Holmesa przy śniadaniu. Kawa moja nie była jeszcze gotowa i gniewny, że muszę czekać, porwałem jakiś dziennik ze stołu, podczas gdy mój towarzysz smacznie zjadał śniadanie.

Zwróć mój pał najpierw na pewien artykuł, podkreślony niebieskim ołówkiem, a zatytułowany: „Księga żywota”. Autor starał się udowodnić, że uważny badacz ludzi i rzeczy, mógłby niezmiernie wiele skorzystać, gdyby zechciał się tylko przyzwyczaić — wszystko co spotka na swej drodze, badać możliwie najdokładniej. Dowód był krótki i zwięzły, końcowe sądy wydały mi się jednakowoż za daleko idące, całość zaś wyglądała na mieszaninę bystrych lecz niewybrednych twierdzeń. Człowiek umiejący badać i analizować, mógł zdaniem autora czytać najtajniejsze myśli drugiego i to z taką pewnością, że niewtajemniczonymu w tę sprawę wydawać się to może jako sztuczki nieczyste.

Życie jest jednym wielkim łańcuchem przyczyn i działań — czytałem dalej — na jednym jedynym ogniwie można wnioskować o całości. Jak zresztą każda inna gałąź wiedzy wymaga studium dedukcji i analizy, wiele wytrwałości i cierpliwości; krótkie życie jednego człowieka nie może doprowadzić tej pracy do skończonej doskonałości. Początkujący dobrze zatem zrobi, jeśli ograniczy

się na zadaniach łatwiejszych, zanim przystąpi do rozwiązania duchowych i obyczajowych problemów, przedstawiających największe trudności. Dla sprawy niech postara się oznaczyć na pierwszy rzut oka historię życia i zawód jakiegoś obcego człowieka, którego napotka na ulicy. Kształci to dar spostrzegawczy i uczy przytem rozsądnie wnioskować. Po paznogciach, ubraniu, manszetach, trzewikach, skórze na palcu wskazującym i kciuku, wyrazie twarzy i wielu innych rzeczach, można najdokładniej rozpoznać codzienne zatrudnienia danego osobnika. Aby badacz, zdolny do wydawania sądów, umiejący łączyć rozmaite dane, nie wydał prawdziwego sądu końcowego, pomyśleć po prostu nie może.

— Cóż za głupie brednie — zawołałem, rzucając dziennikiem — jak długo żyję nie słyszałem czegoś podobnego.

Sherlock Holmes spojrzał na mnie z wyrazem zapytania.

— Podkreśliłeś pan ten artykuł — mówiłem dalej — musiałeś go pan zatem przeczytać. Że zredagowany zresztą nie przeczę Gniewają mnie jednak podobne bezsensowne teorie, zrodzone w domu przy biurku redakcyjnym, a rozbijające się następnie o rzeczywistość. Pan autor powinien się raz choćby przejechać wagonem 3 klasy i próbować rozpoznać zatrudnienie jednego z podróżnych po palcach. Idę w zakład, że się zblamuje.

— Przegrałbyś pan zakład — odpowiedział Holmes spokojnie. — Co się tyczy zresztą tego artykułu ja go pisałem.

— Pan?

— Tak jest! Mam specjalne zdolności w kierunku obserwacyjnym i w wydawaniu końcowych sądów. Teorie, które tutaj panu wyjaśniam, a które w oczach pańskich za niedowarzone uchodzą, znajdują w praktyce najdoskonalsze zastosowanie, tak — co więcej — zarabiam tem na moje utrzymanie.

— Czy to możliwe? — Spytałem mimowoli.

— To moje rzemiosło! Jestem tajnym doradcą policyjnym — jeśli pan wie, o co chodzi — jedynym może w swoim rodzaju. W Londynie jest cała masa detektywów, stojących częścią na usługach rządu, częścią osób prywatnych. Jeśli któryś z tych panów nie może sobie dać rady, przychodzi po prostu do mnie, a ja naprowadzam go na ślad właściwy. Przynoszą mi cały materiał dowodowy, a ja potem jestem przeważnie w możności wskazać im drogę właściwą przy moich znajomościach historii zbrodniarzy. Wszystkie zbrodnie są w gruncie rzeczy wielce spokrewnione ze sobą, a jeśli ma się w głowie szczegółowy tysiąc przekroczeń, to musiałyby stać się cud niewątpliwie, gdybym nie odgadł tysięcznego pierwszego. Lestrade jest znanym detektywem. Męczył się niedawno historią fałszerzy monet, dlatego mnie tak często odwiedzał.

— A inni ludzie?

— Przychodzili głównie z polecenia osób prywatnych. Każdemu z nich leży coś na sercu, zasięga więc u mnie rady. Opowiadają mi swoją historię, słuchają moich objaśnień — potem pobieram honorarium.

— Czyż możesz pan w istocie, siedząc spokojnie w pokoju, rozwiązać najzawilsze węzły, nad którymi mozolą się inni — nawet wtedy, jeśli nie widziałeś pan miejsca, gdzie się to wszystko stało?

— Nieraz tak było; mam przecież dar inspiracji. Zachodzi jednak jakiś specjalnie trudny wypadek — oglądam sobie sam miejsce zbrodni. Mam pewnego rodzaju wiadomości, które ułatwiają mi znacznie moją pracę. Moja wprawa ogromna w wydawaniu końcowych sądów, o których mówi właśnie ten artykuł, jest dla mnie ogromnej wagi w praktyce. Obserwowanie stało się moją drugą naturą. Gdy powiedziałem panu przy pierwszym spotkaniu, że wracasz pan z Afganistanu, byłeś pan bardzo zdziwiony.

— Ktoś to musiał panu powiedzieć!

— Broń Boże! Sam to poznałem. Bieg moich myśli jest przeważnie do tego stopnia szybki, że sądy końcowe wraz z ich szczegółami, zaledwie przejdą przez moją świadomość. A jednak wszystko pozostaje w logicznym związku. Tak wnioskowałem wtedy: Ten pan wygląda na doktora i trzyma się przytem po wojskowemu. Musi być zatem wojskowym lekarzem. Ciemnej cery nie ma od urodzenia, ponieważ powyżej dłoni skóra jest o wiele jaśniejsza — przybywa więc prosto z krajów tropikalnych. Że wiele przeszedł w swym życiu, świadczą najlepiej jego wychudłe policzki; lewe jego ramię musiało być zranione, zwisa mu bowiem nieco. W jakiej tropikalnej okolicy może

ranę otrzymać angielski lekarz wojskowy? Rozumie się samo przez się — w Afganistanie. W czasie krótszym, niż jedna sekunda, doszedłem do wniosku, który pana wprowadził w prawdziwy podziw.

— Tak jak pan to objaśnia, wydaje się sprawa jasną ogromnie. Słyszałem nieraz o czemś podobnym, żeby to jednak mogło zachodzić w rzeczywistości, nie przypuszczałem ani na chwilę.

— Gdyby tylko działa się zbrodnie, wykrycie których wymagałoby niezwyklej bystrości — powiedział dalej Holmes. — Wiem dobrze o tem, że mam dosyć zdolności, aby moje nazwisko rozgłosić po świecie. Żaden jeszcze człowiek nie posiadał tyle naturalnych zdolności w tym fachu, żaden nie poświęcał się temu z takim zamiłowaniem jak ja. Lecz cóż mi po tem wszystkim? Zbrodniarze są przeważnie takimi niezgrabiaszami, a czyny ich tak widoczne, że najzwyczajniejszy urzędnik policyjny przejrzy ich i wykryje bez zbędnych trudności.

Byłem zły trochę, słysząc, jak mówił o sobie. Ażby zwrócić naszą rozmowę na inne tory, zbliżyłem się do okna.

— Ciekaw jestem, czego może szukać ten człowiek po drugiej stronie — zapytałem, wskazując na całkiem skromnie ubranego człowieka, który zdawał się wszystkie numera po stronie przeciwnej przeglądać. W ręku trzymał wielką, niebieską kopertę i siedł widocznie z jakąś ważną wieścią.

— Myśli pan o tym spensjonowanym sierżancie okrętowym? — zapytał Sherlock Holmes.

Oczy rozwarły mi się szeroko z podziwu. Do brze mu chęć się swoją mądrością — pomyślałem sobie, któż może mu udowodnić, że się pomylił!

W tej chwili spostrzegł ten człowiek nasz numer i szybko przeszedł na drugą stronę. Niedługo potem zapukał do drzwi na dole, posłyszeliśmy głęboki głos jego a później ciężkie kroki na schodach.

W minutę był u nas.

— Dla pana Sherlocha — oznajmił, wręczając memu współlokatorowi jakiś list.

Skorzystałem z nadarzającej się sposobności, aby uzdrowić Holmesa z jego manii wielkości. O tej możliwości nie pomyślał, rzucając swe słowa na wiatr bez zastanowienia.

— Czy wolno pana spytać, czem się pan zajmuje? — zagadnąłem przyjacielsko przybyłego.

— Jestem posłańcem — brzmiała krótka odpowiedź — uniform mój oddałem właśnie do porządku krawcowi.

— A przedtem był pan pewnie — ciągnąłem dalej, utkwivszy szyderczy wzrok w pokonanym Holmesie.

— Sierżantem lekkiej infanterii przy flocie królewskiej. Odpowiedzi niema żadnej? Moje uszanowanie? Według rozkazu!

Skłonił się nisko, zsalutował po wojskowemu i szybko opuścił nasz pokój.

### ROZDZIAŁ III.

#### Brikston-Street 3.

Nowy ten przykład praktycznego zużytkowania teorii mego przyjaciela zadziwił mnie w najwyższym stopniu i zwiększył respekt przed jego darem spostrzegawczym. Opanowało mnie małe podejrzenie, czy cała ta sprawa nie była z góry ułożoną, ale jakież cel mogłoby to mieć zresztą.

Skoro zwróciłem się do Holmesa, przeczytał już list i patrzył przed siebie wzrokiem zamglonym, bez wyrazu.

— W jaki sposób zgadłeś to pan znowu? — spytałem podniecony tem wszystkim do najwyższego stopnia.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony.

— To, że ten człowiek jest spensjonowanym sierżantem okrętowym.

— Nie pora teraz do wyjaśnień — zawołał w tonie szorstkim nieco. Lecz uśmiechając się za chwilę, dodał: Pan wybaczy moją szorstkość, ale przerwałem mi pan bieg moich myśli, nie to jednak nie szkodzi. Więc pan rzeczywiście nie poznał na pierwszy rzut oka, że ten posłańiec był sierżantem na okręcie.

— Jakżeż mógłbym mój panie —

— Sprawa tak jasna przecie! Lecz wyjaśnić znów trudno, jak doszedłem do tego. Że dwa razy dwa cztery, każdy wie o tem dobrze, gdyby żądano jednak od pana dowodu, sprawa okazałaby się troszkę bardziej zawiłą. Już na ulicy spostrzegłem niebieską kotwicę, tatowaną na ręce posłańca, wietrzyłem zatem morze; uwagi mej nie uszła jego postawa żołnierska, zgadłem zatem na tychmiast, że jest żołnierzem na okręcie. Głowe